

Agnieszka Ceglowska-Lepszy

Ścieżka

Cisza. Słowo, które znałam od podszewki. Od kilku lat każdego dnia wypowiadałam je dziesiątki razy. Równoważnik zdania, rzucony szybko i rozkazująco w chwilach, gdy poziom klasowego gwaru zaczynał przewyższać moją tolerancję słuchową. Autorytarna prośba o nicnierównowagę, skierowana do uczniów z obawy, że znów przyjdzie mi wysłuchiwać o niekontrolowaniu klasy, braku posłuchu, przyzwoleniu na zbyt swobodne zachowania dzieci, które na moich lekcjach nie boją się być sobą. Teraz ta cisza otaczała mnie i dusiła.

Westchnęłam głęboko i rozejrzałam się wokół. Od kilki minut stałam wewnątrz niewielkiego, drewnianego domku, na którego fasadę nawet nie spojrzałam, wchodząc. Wciąż ścisnęłam rączkę walizki stojącej obok, jakby bojąc się, że gdy ją puszcze, naprawdę pozwolę sobie odpuścić...

Zabawne. Przecież po to tu przyjechałam. Wynajęłam domek stojący na skraju gęstego lasu, w miejscu oddalonym o trzy kilometry od najbliższej wsi, z zamiarem spędzenia w nim weekendu i spojrzenia z dystansu na moją tragicomiczną sytuację zawodową. Tragiczną, bo przyszło mi cudze dzieci uczyć, choć zapierałam się, że nigdy nie skończę w szkole – i to za komicznie niskie wynagrodzenie. Tak niskie, że ta chatka pod lasem kosztowała mnie całą tygodniówkę. Pięć dni pracy za dwie doby w sercu Kaszub.

Nie, nie, nie. Stop. Gonitwa myśli tym razem nie będzie brała nade mną góry. Zdjęłam kurtkę przeciwdeszczową i trampki. Ogromne łóżko pod oknem wyglądało bardzo kusząco, a ciężar, który czułam na ramionach, dosłownie wbijał mnie w podłogę. Usiadłam na łóżku w momencie, gdy za oknem lunęło jak z cebra. Wyjęłam z torebki telefon. No tak – brak zasięgu. Właścicielka ostrzegała, że na internet nie można tu liczyć. Tym lepiej. Nic nie będzie mnie rozpraszało.

Podeszłam do części kuchennej i nastawiłam czajnik na herbatę. Temperatura za oknem przypominała bardziej jesień niż wiosnę – nie pamiętałam tak zimnego maja. Wyjęłam z walizki stertę papierów – rozprawek 7b nie mogłam zostawić na kolejny tydzień,

zbyt długo trwa ich sprawdzanie. Miałam zamiar zająć się nimi później. Sięgnęłam po gruby notes w czerwonej okładce i otworzyłam go na stronie, na której drukowanymi literami napisałam: ZA i PRZECIW. Część „ZA” była już nieźle wypełniona, część „PRZECIW” – pusta. Poczułam się jeszcze bardziej zmęczona, choć dochodziła dopiero osiemnasta. Tygodniowy maraton lekcyjny i krótka podróż nieźle dały mi w kość. Postanowiłam uciąć sobie drzemkę, by odzyskać jasność umysłu. Położyłam się na łóżku i okryłam kocem, który na nim leżał. Deszcz miarowo bębnił o parapet. Zasypiałam, starając się nie myśleć o niczym, ale słowa nie opuszczały mojego umysłu.

Obudziła mnie cisza. Tym razem była przyjemna. Otworzyłam oczy i uświadomiłam sobie, że przespałam całą noc – w ubraniu, pod kocem. Wstałam niespiesznie i po porannej toalecie przygotowałam sobie lekkie śniadanie. Jak dobrze, że zabrałam ze sobą podstawowe produkty i nie byłam zmuszona od razu jechać do pobliskiej wsi.

Słońce wdzierало się do małego salonu. Dojrzałam przez okno fotel bujany i stolik, stojące na werandzie. Wzięłam talerz i kubek z kawą i przeniosłam się na zewnątrz. Zjadłam i wróciłam do torby po książkę. Sprawdziłam godzinę na telefonie i zignorowałam emotikonę wiadomości z Librusa.

Usiadłam w bujanym fotelu z zamiarem zanurzenia się w wypożyczonej z biblioteki powieści. Gdy otworzyłam książkę, wypadła z niej ręcznie robiona zakładka z narysowaną ważką i napisem: „Żeby wiedzieć, gdzie iść, czasem trzeba się zatrzymać.” Ciekawe... Akurat teraz bardzo potrzebowałam znaków, które utwierdzą mnie w przekonaniu, że mam prawo tu być, mam prawo nie robić nic – tylko siedzieć na werandzie i czytać książkę. Fabuła szybko mnie wciągnęła. Z każdą kolejną stroną moje ciało doznawało rozluźnienia. Śpiew ptaków i lekki szum grających na wietrze liści działały lepiej niż moje ulubione filmiki ASMR. Myśli przepływały przez mój umysł swobodnie. Niedawna krytyka mojego warsztatu pracy z ust dyrektora, pretensje od rodzica ucznia, smutne słowa uczennicy o braku sensu nauki – wszystkim tym postanowiłam zająć się później. Teraz liczyły się tylko losy bohaterów literackich, które zostały przedstawione w książce.

Czytanie zawsze mi pomagało. Można powiedzieć, że książki mnie uratowały – i nie jest to metafora. Wychowałam się jako słyszące dziecko niesłyszących rodziców. CODA - Child of Deaf Adults. Jakże niefortunna nazwa – dziecko głuchych dorosłych. Chyba nigdy nie byłam tak naprawdę dzieckiem, a moi rodzice nigdy nie byli tak naprawdę dorośli. Pamiętam, jak już w pierwszych latach życia docierało do mnie, że nasz dom jest inny. Że moi rodzice są niczym

przybysze z innego kraju – emigranci z doliny bez dźwięku, bez mowy, bez słów. Cisza była tłem mojego dzieciństwa, a język migowy – moim pierwszym językiem. Zostałam łącznikiem między światem zewnętrznym a planetą moich rodziców, tłumaczką – zanim nauczyłam się dobrze odmieniać przez przypadki. Mówiłam za innych, choć sama jeszcze nie wiedziałam, co chcę powiedzieć. W sklepie, u lekarza, w szkole. Znałam dorosłe sprawy wcześniej, niż powinnam, Wiedziałam, co to znaczy „orzeczenie o niepełnosprawności”, zanim dowiedziałam się, ile kwartałów ma rok. Rosłam w tej odpowiedzialności jak w za dużym płaszczu – za ciężkim, krępującym, ale znanym.

Gdy odkryłam książki, zaczęłam czytać jak szalona. Żeby zrozumieć świat, żeby go nazwać, żeby mieć słownik, który nie kończy się na ruchu ręki. One stały się moim azylem. Czytałam wszystko, co mi wpadło w ręce, a że zbiory wiejskiej biblioteki były niewielkie, szybko nie było już dla mnie nowości. Każda przeczytana książka przybliżała mnie do świata, w którym nie musiałam być dorosła, żeby być zauważona.

Pewnego razu koleżanka ze szkoły zaprosiła mnie do siebie. Całą ścianę dużego salonu jej domu zajmowały półki z książkami. Nie mogłam się powstrzymać i szybko schowałam jedną do plecaka, gdy tylko zostałam w pomieszczeniu sama. Po powrocie do domu przeczytałam ją w ciągu kilku dni i zaproponowałam koleżance wspólne odrabianie lekcji u niej w domu. Ukradkiem odłożyłam książkę i zabrałam do plecaka drugą. W ten sposób zaczęła się moja przygoda z podkradaniem lektur. Podkradaniem, bo tak naprawdę ich nie kradłam – jedynie pożyczalam, bez pytania właścicieli. Nie mogłam zapytać, bo wtedy musiałabym powiedzieć, że w moim domu nie ma ani jednej książki, poza szkolnymi podręcznikami. Moi rodzice nigdy nie nauczyli się czytać i uważali to za zbędną czynność. Wędrowałam więc na pobliską łąkę i zatapiałam w fikcyjnych światach. Gdy czas szkoły podstawowej dobiegał końca, udałam się do koleżanki, by oddać ostatnią książkę. Jej rodzinny dom został sprzedany, za chwilę wyruszą w podróż, a po wakacjach czekała ich przeprowadzka do większego miasta, a tym samym – prawdopodobny koniec naszej znajomości. Jej mama weszła do salonu w chwili, gdy wyciągałam książkę z plecaka.

– Która najbardziej ci się podobała? – zapytała.

– Ja... Yyy... Przepraszam panią – odpowiedziałam, nie patrząc jej w oczy.

– Ależ nie masz za co, Leno! Zauważyłam zniknięcie już pierwszej, wiele lat temu. Byłam ciekawa, czy ją oddasz, ale ponieważ oddałaś, nie widziałam powodu, by coś mówić. Książki

są po to, aby je czytać – powiedziała z uśmiechem i objęła mnie ramieniem – Wybierz sobie jakąś na pamiątkę – dodała.

– Naprawdę? – nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Z czułością zaczęłam szukać książki, która zrobiła na mnie największe wrażenie. „Świat Zofii” Jostaina Gaardera. Niby opowieść o nastolatce, która dostaje dziwne listy. Ale tak naprawdę... to zaproszenie do zadawania pytań. Gdy ją czytałam, czułam się jak wędrowiec w gęstej mgłę, który z każdym rozdziałem widzi coraz więcej. Najbardziej poruszały mnie pytania, które miałam w sobie już wtedy, gdy nie potrafiłam ich jeszcze ubrać w słowa. Może dzięki nim jestem dziś nauczycielką. Była to pierwsza książka, którą otrzymałam na własność. Mam ją do dziś i zajmuje honorowe miejsce w mojej domowej bibliotece.

Nie bez powodu wybrałam jednak studia z filologii polskiej o specjalności teatru i filmu. Od pierwszej wizyty w kinie pokochałam filmy, później miłość ta rozszerzyła się o spektakle. Myślałam, że zostanę krytykiem filmowym i spędzę życie, chodząc na bezpłatne pokazy przedpremierowe największych dzieł i pisząc o nich pełne smaku recenzje.

Na trzecim roku zatrudniłam się jako opiekun na koloniach. Kontakt z dziećmi i młodzieżą okazał się brakującym ogniwem. W magiczny sposób potrafiłam stworzyć zgraną grupę w ciągu dwóch tygodni. Po prostu widziałam te dzieciaki, zauważałam je, pozwalałam im mówić. Pytałam i słuchałam ich odpowiedzi.

Zdecydowałam wtedy zrobić jeszcze specjalność nauczycielską. Przez kilka lat po studiach łapałam się różnych zajęć w ośrodkach kultury i świetlicach wiejskich, aż w końcu zwolniło się miejsce dla polonistki w pobliskim miasteczku. Od pierwszej lekcji wiedziałam, że to jest to. Miejsce pod tablicą stało się moją sceną, a ja mogłam codziennie wcielać się w różne role, pokazując uczniom fascynujący świat słów.

Jednak ostatnie dwa lata czułam się jak na równi pochyłej. Mogłabym powiedzieć, że system mnie zmęczył, że dzieciaki są okropne... Ale nie. Prawda jest taka, że to ludzie w tym systemie mnie zmęczyli. Począwszy od dyrektora, który uważał szkołę za swój prywatny folwark i wprowadzał zasady sprzeczne z jakąkolwiek pedagogiką i psychologią, przez wypalonych, ciągnących ten wózek ostatkiem sił nauczycieli, dla których nie ma już innej drogi jak dotrzeć do emerytury, aż po rodziców, którzy traktują szkołę jak hotel pobytu dziennego dla swoich dzieci. A uczniowie... to uczniowie. Niewiele im trzeba, by zechcieli otworzyć umysł i chłonąć wiedzę w tempie swoich możliwości. Bywają tak bardzo różni. Początkowo byłam zdziwiona, że nie do wszystkich dociera ta sama ilość informacji z lekcji, że nie każdy potrafi się skoncentrować

czy napisać coś własnymi słowami. Dopiero cierpliwość, uważność i taka zwyczajna ciekawość drugiego człowieka sprawiła, że między mną a uczniami zaczęło się coś dziać, ten specyficzny stan flow, gdy puzzle wskakują na swoje miejsce i po prostu płynie się z prądem. Język polski stał się dla większości z nich oazą, miejscem oddechu, w którym każdy może być sobą.

Nigdy nie zapomnę, gdy tuż przed którymś Dniem Nauczyciela próbowałam zachęcić do pracy ucznia z doświadczeniem migracji. Usilnie zajmował się czymś innym, to zginając karteczki, to rysując. Zanim wyszedł na przerwę po dzwonek, poprosiłam go o rozmowę. Już miałam zapytać, co się u niego dzieje, gdy wyciągnął w moim kierunku rękę ze złożoną w kopertę kartką papieru.

– To dla pani... – powiedział i szybko wyszedł z klasy.

Otworzyłam kopertę, a w niej znajdowała się karteczka z rysunkiem i napisem: „Pani mnie widzi. Dziękuję”. Co tam ćwiczenie interpunkcji, gdy dla tego dziecka ważne było, by mógł podziękować. Dziecka, które trudno adaptowało się do nowych warunków, sprawiało wrażenie bycia w swoim świecie i było krytykowane przez innych nauczycieli za to, że po kilku miesiącach w Polsce nie pisało i nie czytało w naszym, dla niego obcym wciąż, języku w takim stopniu, w jakim oni by chcieli. Czy ktoś mówi roślinie, ile centymetrów na tydzień ma urosnąć?!

Wszystkie te liściki, karteczki, laurki od lat trzymałam w pudełku po butach, oklejonym w technice decoupage, którą się kiedyś fascynowałam. W chwilach zwątpienia zaglądałam tam i czytałam, przypominając sobie, że to, co robię, ma sens. Nie wszyscy będą orłami z gramatyki czy ortografii, nie każdy zapamięta rodzaje komizmu i definicję didaskaliów. Ale zapamiętają to, jak się na polskim czuli. Nawet jeśli nie podoba się to dyrektorowi, który moje działania uznaje ostatnio za zbędne zabawy. „Pani Leno, co to znów za bieganie w pani klasie było, przypadkiem przechodziłem, no łomot taki... Powinna pani dzieci ustawić w dwa równe rzędy przed wejściem do klasy i zachować dyscyplinę do samego dzwonka! Czemu tak mało wczoraj napisali? Przypadkiem widziałem zeszyt ucznia, sam mi przyniósł, żeby pokazać jakiś rysunek... Po co to im na polskim... A że Dusiołka swojego rysowali? No pani Leno, a wyniki? Liczą się wyniki, te egzaminy tak słabo wychodzą...” Ooo, nie! Stop! Słowa dyrektora brzmiały mi w głowie jak natrętna mucha, której się nie da przegonić. Zaczynałam podejrzewać u siebie jakiś rodzaj stresu pourazowego, no ileż można odsłuchiwać w kółko tych samych tekstów...

Spędziłam cudowny, leniwy dzień. Przeczytałam trzy książki, napisałam wiersz, pomedytowałam, wsłuchując się w odgłosy natury. W dorosłym życiu musiałam świadomie nauczyć się

odpoczywać. Rodzice zakotwiczyli we mnie konieczność bycia w ciągłym ruchu - tzw. niemarowania czasu. Tuż przed pójściem spać wyjrzałam przez okno. Dostrzegłam w półmroku przerwę między drzewami i wiodącą przez nie cienką, wijącą się ścieżkę, prowadzącą w głąb lasu. Mogłabym przysiąc, że wcześniej jej tam nie było – przecież wpatrywałam się w ten krajobraz przez cały dzień, czytając. Zasnęłam z postanowieniem pójścia na spacer z samego rana.

Świt przywitał mnie jaskrawym światłem. To niesamowite, jak dobrze tu spałam. Wzięłam prysznic, umyłam włosy i – z wilgotnymi – usiadłam do śniadania na werandzie. Rogalik 7 Days nigdy nie zawodził. Wypiłam kawę, ubrałam dzinsy, wygodny sweter i trampki – i wyruszyłam na spacer po lesie. Już po przekroczeniu ściany gęstych drzew znalazłam się jakby w innym świecie. Nie widziałam dotąd takiego lasu. Przypominał raczej dziką puszcę, niż zasiany przez leśników las. Nagle na ścieżce tuż przede mną zauważyłam papierowy samolot. Zatrzymałam się i podniosłam go.

W mojej głowie pojawiło się wspomnienie chłopca, który na którejś z kolonii przez całe dni lepił papierowe samoloty. Stronił od grupy i trudno go było włączać do zabaw integracyjnych. Któregoś wieczoru usiadłam obok niego na drewnianej huśtawce, gdy reszta grupy urządzała sobie podchody.

– Skąd u ciebie takie zamiłowanie do samolotów, Olku? – zapytałam.

–A bo tata raz mnie zabrał do muzeum starych samolotów. Raz, bez mamy i brata. Byliśmy tylko we dwoje i tata opowiadał mi, że gdy był mały, jego sąsiad pozwalał mu bawić się w swojej małej awionetce, którą nawoził pole – opowiedział.

– Wspaniała historia! To musiał być piękny dzień, ta wycieczka. A co robi tata?

–Tata... pracuje. Dużo pracuje. Coś przy komputerach. Nie ma go nigdy w domu. Mamy też nie ma - też dużo pracuje. Mówią, że po to, żebyśmy my z bratem mieli lepiej od nich. Wysłali mnie tu na kolonię, brata do dziadków, a sami polecili do ciepłych krajów. Nie chciałem tu przyjeżdżać, nikt mnie nie pytał, czy chcę. Wolałem jechać z nimi, ale powiedzieli, że chcą odpocząć. Tylko my ich z bratem przecież nie męczymy, bo w ogóle ich nie widzimy. Czy można kogoś zmęczyć, po prostu istniejąc? – głos mu się załamał i spojrzał na mnie z głębokim smutkiem w oczach.

– Słyszę, że bardzo tęsknisz za rodzicami. To w porządku. Jestem z tobą – powiedziałam, dotykając jego ramienia.

Milczał przez chwilę, po czym dodał:

– A wie pani, że piloci widzą wszystko z góry? Dla nich wszystko, tu na ziemi, jest małe i nieważne. Liczy się nieskończoność nieba, chmury, przez które się mknie... Pilot to najważniejsza osoba w samolocie, od niej wszystko zależy! I po skończonym locie otrzymuje oklaski! Ciocia mi pokazywała, na filmiku z wakacji all inclusive, czyli wszystko na wypasie. Rodzice teraz są na takich. Ciekawe, czy bili brawo pilotowi. Chciałbym, żeby kiedyś mi bili brawo...

Wspomnienie tamtej rozmowy otworzyło we mnie tęsknotę za czymś, co zdusiłam w sobie już dawno temu. Ruszyłam dalej z samolotem w dłoni. Ścieżka zaczęła się rozwidlać. Skręcałam w stronę, z której dobiegał dziewczęcy śmiech. Za potężnym świerkiem zauważyłam parę młodych ludzi, którzy siedzieli na kocu objęci i żywo o czymś dyskutowali. Młoda dziewczyna w sukience w kwiaty miała na twarzy rumieńce. Chłopak wpatrywał się w nią z błyskiem w oku. Uśmiechnęli się do mnie, gdy ich mijałam. Zdążyłam jeszcze usłyszeć słowa chłopca:

–To nic, że się boisz. Można się bać i spróbować. Najwyżej zrezygnujesz, jeżeli ten kierunek okaże się dla ciebie za trudny...

„Można się bać i spróbować”. Słyszałam to już kiedyś – od swojej nauczycielki, gdy bałam się wyrecytować wiersz w jakiejś czwartej, piątej klasie podstawówki. Znałam go na pamięć, jednak konieczność zajęcia miejsca pod tablicą i skupienia na sobie wzroku wszystkich z klasy napawała mnie paniką. Już wolałam dostać jedynkę. Mama i tak nie dowiedziałyby się do momentu, w którym ja sama nie wytłumaczyłabym jej tego na migi. Nauczycielka powiedziała, że we mnie wierzy i uśmiechnęła się do mnie ciepło. Słowa wiersza popłynęły ze mnie same – i dostałam szóstkę. Bardzo mnie to wtedy umocniło. To doświadczenie zachowało się we mnie i pomagało lepiej rozumieć stres uczniów przed recytacją. Czasem rodzice chcieliby ochronić dziecko przez wyzwaniem – proszą mnie o umożliwienie ich dziecku recytacji w pustej sali, bez uczniów. Ja jednak wiem, że sens tej recytacji jest właśnie wtedy, gdy trzeba wyjść ze swojej strefy komfortu i udowodni się sobie, że stać nas na więcej, niż nam się wydaje. Strach wystarczy zauważyć – nie trzeba oddawać mu kontroli.

Czego więc teraz się bałam? Nie dzieci – ich pytań, niecierpliwości, hałasu. Nie nowych programów, kolejnych zmian, reform. Bałam się, że któregoś dnia wstanę i już nic nie poczuję. Że wypalę się tak cicho, że nawet nie zauważę, kiedy zgasnę. Że przestanę się zachwycać. Już teraz czułam, jak coś odbiera mi radość z drobiazgów, powoli zaciera kontury pasji. Byłam na siebie zła, że tak długo znosiłam przytyki dyrektora. Znosiłam ingerowanie w moje metody

pracy, przytyki na radzie, że dlaczego angielski wychodzi lepiej na egzaminach niż polski, znosiłam zarzucanie mnie licznymi dodatkowymi obowiązkami, chociaż jako polonistka miałam swojej roboty na więcej niż godziny etatowe. Jednak czara goryczy przełała się w tym tygodniu.

Wyszłam z uczniami na korytarz, bo sala była zbyt ciasna do tego, co chciałam im pokazać. Poprosiłam, by ustawili się w kółku. Śmiech, szuranie butów, lekki chaos. Zaczęliśmy grę w głuchy telefon. Znaną i prostą, ale z konkretnym celem. Omawialiśmy właśnie funkcje języka i komunikację. Chciałam, by zrozumieli, jak działa przekaz: nadawca wypowiada komunikat, a odbiorca... czasem słyszy coś zupełnie innego. Że słowo to nie tylko brzmienie, ale i intencja, kontekst, emocja. Chciałam, by poczuli to w uśmiechu, gdy ostatnia osoba wypowie zdanie kompletnie inne niż to, które ja powiedziałam na początku pierwszemu uczniowi. „Złoty pies gra na harmonijce” zmienił się „Słodki pies spał na ławce”. Dzieci wybuchły śmiechem. To była jedna z tych chwil, które zostają. Temat przestał być suchą definicją z podręcznika. Poczuli, że język żyje.

I wtedy zobaczyłam kątem oka woźną. Stała przez chwilę niedaleko, po czym odeszła z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam odczytać, ale poczułam się nieswojo. Na kolejnej przerwie, którą spędzałam na dyżurze, podeszła inna woźna i przekazała mi, że dyrektor chce mnie widzieć. Miałam przed sobą jeszcze trzy lekcje i dyżury pomiędzy nimi, weszłam więc do jego gabinetu po pracy.

– Pani Leno, wyszła pani z uczniami na korytarz w czasie lekcji języka polskiego? Żeby się... bawić?

Próbowałam wyjaśnić. Opowiedziałam o funkcjach języka, o nadawcy i odbiorcy, o zakłóceniach w komunikacji, o podstawie programowej. Ale miałam wrażenie, że każde moje słowo – jak w głuchym telefonie – zmienia się, zanim dotrze.

– Szkoła to nie teatr eksperymentów – usłyszałam – Proszę pamiętać, że są pewne granice. Od zabawy są przerwy. Na lekcji powinna być cisza, skupienie i konkret.

Wyszłam z gabinetu nieco mniejsza, z uczuciem niesmaku. Bo przecież to był konkret. Tylko niepodręcznikowy. Szłam pustym korytarzem, a echo jego słów wracało do mnie. Pozwoliłam mu podkopać swoją pewność siebie, zasiać zwątpienie. Ja mówiłam językiem relacji, emocji, zaufania i doświadczenia. Dyrektor – językiem ciszy, kontroli i procedur.

Gdy wędrowałam teraz gęstym, ciemnozielonym lasem i mijałam monumentalne drzewa, czułam wyraźnie, że powraca mój wewnętrzny głos. Zbliżałam się do polany, na której środku

rósł ogromy, stary dąb. Podeszłam do jego pnia i położyłam na korze dłoń. Była chropowata, emanowała dziwnym ciepłem. Pod palcami wyczułam sieć pęknięć i rowków. Zamknęłam oczy i przez chwilę miałam wrażenie, że słyszę szept – cichy jak szelest liści w bezwietrzny dzień. Otworzyłam szybko oczy i rozejrzałam się wokół. Pusto. Nagle zwróciłam uwagę na wyryty nieco z boku pnia napis: „To, co dajesz, wraca”. Zadrżałam. Ktoś kiedyś tu stał, jak ja teraz. Może też miał w sobie zwątpienie. Ale nim odszedł, zostawił ślad. Może właśnie dla mnie?

Spojrzałam na koronę drzewa. A potem w siebie. Nie odpuszczę. Nie muszę widzieć spektakularnych owoców mojej pracy. Wystarczy, że wierzę w korzenie. W to, co zasiały moje słowa, moja uwaga, moja cierpliwość. Mam zamiar nadal przekazywać dzieciom, że literatura jest po to, aby mogły siebie nazwać, zanim ktoś zrobi to za nie. Aby miały dokąd wracać, kiedy świat będzie zbyt cichy albo zbyt głośny. I żeby wiedziały, że nawet jeśli wszystko wokół się rozpada – w słowach można znaleźć oparcie i zbudować od nowa to, co ważne.

Wróciłam do chaty i wyjęłam z czerwonego kalendarza złożoną na pół kartkę. Otworzyłam ją. Wypowiedzenie z pracy. W poniedziałek mijał ostatni dzień maja, a więc ostatni moment w roku, w którym to nauczyciel może się zwolnić. Czerwiec, lipiec i sierpień tworzą trzymiesięczny okres wypowiedzenia. Po tym czasie rozwiązanie pracy możliwe jest tylko za porozumieniem stron, co bywa trudne, bo z powodu licznych braków kadrowych dyrektorzy nie zgadzają się na to.

Przyjechałam tu, mając wypełnioną część ZA zwolnieniem się. Ale nie. Nie będę uciekać. Nigdy więcej nie stanę w gabinecie dyrektora z opuszczonym wzrokiem, jak uczennica, która zapomniała pracy domowej. Nie będę więcej tłumaczyć się, bronić, ani cytować podstawy programowej. To ja jestem specjalistką od mojego przedmiotu, przepisy zostawiają mi wolność wyboru form i metod pracy. On może nie widzieć wartości w tym, co robię. Może dalej wierzyć, że dobra szkoła to ta, w której dzieci siedzą cicho, a nauczyciel jest przewidywalny jak plan lekcji. Nie muszę tego zmieniać. Ale on też nie zmieni mnie. Nie pozwolę więcej, by jego słowa zapuściły we mnie korzenie. Nie oddam mu tej przestrzeni w sobie, w której mieszka mój zachwyt, intuicja i cicha pewność, że robię coś ważnego.

Jutro znów wejdę do klasy.

Z tym, co wiem.

Z tym, co czuję.

Z tym, co wraca.